

To nie bajka...



DENIS DIDEROT

TO NIE BAJKA...

To nie bajka...

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Gdy się opowiada, opowiada się *komuś*; jeśli opowiadanie trwa bodaj trochę dłużej, rzadko się zdarza, aby słuchacz od czasu do czasu nie przerwał. Oto czemu w niniejszą relację, która nie jest powiastką albo która jest lichą powiastką, wprowadziłem osobę grającą w przybliżeniu rolę czytelnika.

A wniosek?

— Iż przedmiot tak zajmujący winien był rozpaść wszystkich; napełnić co najmniej przez miesiąc gwarem wszystkie towarzystwa, do znudzenia, do przesytu; dostarczyć tematu tysięcznym dysputom, co najmniej dwudziestu broszurom i kilkuset utworom poetyckim; i że mimo całego talentu, wiedzy i dowcipu autora, skoro jego dzieło nie obdziło żywszego poruszenia, jest mierne, i to bardzo mierne.

— Zdaje mi się wszelako, iż zawdzięczamy mu dość przyjemny wieczór i że lektura ta wywołała...

— Co?... Litanię oklepanych historyjek, którymi obie strony raczyły się wzajem, a które wyrażały jedynie rzecz wiadomą od wieków, mianowicie, iż mężczyzna i kobieta są to dwie nader złośliwe bestie.

— Mimo to zaraza ogarnęła i ciebie i dorzuciłeś swój grosik jak inni.

— Ba, czy człowiek chce czy nie chce, dostraja się do tonu. Wchodząc w towarzystwo, układamy zazwyczaj na progę nawet fizjonomię¹ naszą wedle tych, które widzimy; udajemy wesołość, gdy jesteśmy smutni; smutek, gdy mielibyśmy ochotę do śmiechu. Nikt nie chce się okazać czemukolwiek obcym: literat politykuje; polityk metafizykuje; metafizyk moralizuje; moralista mówi o finansach; finansista o literaturze lub geometrii; każdy, raczej niżby miał słuchać albo milczeć, paple o tym, o czym nie ma pojęcia, i wszyscy nudzą się przez głupią próżność lub przez grzeczność.

— Cierpki jesteś.

— Jak zwykle.

— Toteż sędzę, że lepiej uczynię, chowając swą powiastkę na sposobniejszą chwilę.

— To znaczy, zaczekasz, aż mnie nie będzie.

— Nie to.

— Lub obawiasz się, iż mniej będę miał pobłażliwości dla ciebie sam na sam, niżbym jej miał dla kogoś obojętnego w towarzystwie.

— Nie to.

— Bądźże więc tak uprzejmy i powiedz, co właściwie.

— To, iż moja powiastka nie więcej dowodzi niż te, które cię znudziły.

— Cóż robić? Gadaj i tak.

— Nie, nie; masz już dosyć.

— Czy wiesz, że ze wszystkich sposobików, które mają dar doprowadzania mnie do wściekłości, twój jest mi najmniej sympatyczny.

— Jakiż to mój?

— Dać się prosić o rzecz, do której się palisz. Więc dobrze, mój przyjacielu, proszę cię, błagam, abys sobie zrobił tę przyjemność.

— Sobie przyjemność!

¹fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

- Zaczynaj, na miły Bóg, zaczynaj.
- Postaram się być zwięzły.
- Nie zaszkodzi.

Tu, nieco przez złośliwość, chrząknąłem, splunąłem, rozwinąłem wolno chustkę, wyśiąkałem nos, otworzyłem tabakierkę, zażyłem; wśród tego słyszałem, jak nieborak mruzczał przez zęby: „Powiastka może będzie krótka, ale przygotowania są długie...”. Miałem ochotę pod pozorem jakiegoś zlecenia wołać jeszcze na służącego, ale poniechałem tego i rzekłem:

- Trzeba przyznać, że bywają mężczyźni bardzo zacni i kobiety bardzo niegodziwe!
- Ba! Widuje się to, widuje, niekiedy zgoła nie wychodząc z domu. Cóż dalej?
- Dalej, znałem pewną Alzatkę, piękną, ale to tak piękną, iż starzy i młodzi stawali w osłupieniu na jej widok.

— I ja ją znałem; nazywała się pani Reymer.

— W istocie. Pewien człowiek, świeżo przybyły z Nancy, nazwiskiem Tanié, zakochał się w niej śmiertelnie. Był biedny: był to jeden z owych straceniów, których nieczulość rodziców, obarczonych zbyt licznym potomstwem, wypędza z domu i którzy rzucają się w świat, nie wiedząc, co się z nimi stanie; instynkt jakiś powiada im, że nie zdarzy się im los gorszy niż ten, przed którym uchodzą. Tanié, zakochany w pani Reymer, gorejąc namiętnością, która podtrzymywała jego wytrwałość i uszlachetniała w jego oczach wszystkie próby, chwycił się bez odrazy najbardziej uciążliwych i szpetnych zajęć, aby ulżyć biedzie swej ukochanej. W dzień pracował w porcie, o zmroku żebrał po ulicach.

— To było bardzo pięknie, ale to nie mogło trwać!

— Toteż Tanié, zmęczony borykaniem się z nędzą, lub raczej tym, iż więzi w niedostatku uroczył kobietę, obleganą przez bogaczy, którzy naglili ją, aby odprawiła tego nędzarza...

— Co też byłaby uczyniła w dwa tygodnie lub miesiąc później.

— ...i przyjęła ich dostatki, postanowił ją opuścić i pokusić się o zdobycie fortuny za morzem. Krząta się, stara, uzyskuje pozwolenie przeprawy na okręcie królewskim. Nadchodzi chwila odjazdu. Idzie żegnać się z panią Reymer:

— Ukochana — powiada — niepodobna mi nadużywać dłużej twego przywiązania. Powziąłem postanowienie, odjeżdżam.

— Odjeżdżasz!

— Tak...

— I dokąd?...

— Na wyspy. Godna jesteś innego losu, nie mam serca zagradzać ci go dłużej...

(— Poczciwy Tanié!...)

— A co się ze mną stanie?...

(— Obludnica!)

— Jesteś otoczona ludźmi, którzy zabiegają o twe łaski. Zwracam ci obietnice, zwracam ci zaklęcia. Przyjmij tego, który ci jest najmilszy, wysłuchaj go, proszę cię o to...

— Ach, Tanié, ty mi to radzisz...

(— Daruję ci komedie pani Reymer. Widzę ją, znam ją...)

— Odjeżdżając, wymagam od ciebie jednej tylko łaski, mianowicie, abys nie przyjmowała żadnych zobowiązań, które by nas rozdzielały na zawsze. Przysiąż mi to, aniele mój. W jakiegokolwiek części świata się znajdę, trzeba by wielkiego nieszczęścia, abys bodaj raz na rok nie otrzymała niezłomnych dowodów mego tkliwego przywiązania. Nie płacz...

(— One wszystkie płaczą, kiedy chcą...)

— ...i nie powstrzymuj mnie od zamiaru, którym natchnęły mnie wreszcie wyrzuty mego serca i do którego niechybnie sprowadziłyby mnie znowu.

I oto Tanié odjechał na San Domingo².

— I odjechał w samą porę dla pani Reymer i dla siebie.

— Skądże to wiesz?

²San Domingo (fr. *Saint-Domingue*) — dawna francuska kolonia (1659–1804) w zach. części karaibskiej wyspy Hispaniola; ob. terytorium Republiki Haiti. [przypis edytorski]

— Wiem tak pewnie, jak tylko jest możliwe wiedzieć, że kiedy Tanié radził jej uczynić wybór, już się to stało.

— Ba!

— Opowiadaj dalej.

— Tanié był to człowiek bystry i z głową do interesów. Niebawem dał poznać swe talenty. Powołano go do Naczelnej Rady Przylądka³; odznaczył się rozumem i sprawiedliwością. Nie marzył o zdobyciu wielkiej fortuny; pragnął ją tylko zdobyć uczciwie i szybko. Co roku przysyłał część zysków pani Reymer. Wrócił po dziewięciu czy dziesięciu latach (tak, tak, nie zdaje mi się, aby to trwało dłużej...), by złożyć u stóp kochanki szkatułkę zawierającą owoc jego talentów i pracy... Szczęściem dla Taniégo, zdarzyło się to w chwili, w której rozstała się właśnie z ostatnim z jego następców.

— Ostatnim?

— Tak.

— Było ich zatem więcej?

— Niewątpliwie.

— Mów dalej.

— Ale może ja nie powiem ci nic, czego byś nie wiedział lepiej ode mnie.

— Cóż to szkodzi? Mów i tak.

— Pani Reymer i Tanié zajmowali dość wykwintne mieszkanie przy ulicy św. Małgorzaty⁴, wprost moich drzwi. Ceniłem wysoko Taniégo i bywałem w jego domu, gdzie panował jeżeli nie zbytek, to w każdym razie dostatek.

— Mogę cię upewnić, mimo iż nie robiłem rachunków z Reymerką, że miała więcej niż piętnaście tysięcy funtów⁵ renty już przed powrotem Taniégo.

— Przed którym ukrywała swój majątek.

— Tak.

— Dlaczego?

— Dlatego że była skąpa i chciwa.

— Niech będzie chciwa; ale skąpa! Kurtyzana skąpa!

— Upłynęło już pięć czy sześć lat, przez które kochankowie żyli w najlepszej harmonii.

— Dzięki sprytowi z jednej strony, a bezgranicznej ufności z drugiej.

— Och, to prawda, iż cień podejrzenia nie mógł zagościć w duszy tak czystej jak Taniégo. Jedyna rzecz, którą zauważyłem niekiedy, to iż pani Reymer rychło zatarała w pamięci dawny niedostatek; dręczyła ją namiętność zbytku i bogactwa; czuła się upokorzona, iż tak piękna kobieta musi chodzić pieszo...

— Czemuż nie jeździła powozem?

— A blask, strojący występki, przesłaniał jej jego nikkzemność. Śmiejesz się?... Wówczas to pan de Maurepas⁶ powziął myśl stworzenia domu handlowego na dalekiej Północy. Pomyślność tego przedsięwzięcia zależała od pozyskania czynnego i zdolnego człowieka. Minister przypomniał sobie Taniégo, któremu w czasie jego pobytu na Przylądku powierzył prowadzenie wielu ważnych spraw i który wywiązał się zawsze ku powszechnemu zadowoleniu. Wyróżnienie to przywiodło Taniégo do rozpaczki. Był tak zadowolony, tak szczęśliwy przy boku pięknej przyjaciółki! Kochał, posiadał lub mniemał, że posiada jej wzajemność...

— Tak; to ściślej.

— Cóż mogło złoto dorzucić do jego szczęścia? Nic. Jednakże minister nalegał. Trzeba się było namyślić, trzeba się było zwierzyć pani Reymer. Zaszedłem tam właśnie pod koniec bolesnej sceny. Biedny Tanié zalewał się łzami.

— Co tobie, przyjacielu? — spytałem.

Odparł, szlochając:

³Przylądek — tu: miasto *Cap-Français* (fr.: Przylądek Francuski), od 1711 do 1770 stolica francuskiej kolonii San Domingo; ob. *Cap-Haïtien* w Republice Haiti. [przypis edytorski]

⁴ulica św. Małgorzaty — rue Sainte-Marguerite w Paryżu; ob. rue Gozlin. [przypis edytorski]

⁵funt — tu: liwr, dawny pieniądz francuski. [przypis edytorski]

⁶Phéypeaux, Jean-Frédéric, hrabia de Maurepas (1701–1781) — francuski polityk; minister floty (1723–1749) Ludwika XV, zarządzający marynarką wojenną, koloniami i handlem morskim; główny minister królewski (1774–1781) Ludwika XVI; w 1749 sporządził dla króla raport ze strategią otwarcia stosunków handlowych z koloniami angielskimi przez Kanadę; plan został przyjęty do realizacji. [przypis edytorski]

— Ta kobieta!...

Pani Reymer haftowała spokojnie na krosienkach. Tanié zerwał się nagle i wyszedł. Zostałem sam z jego przyjaciółką, która nie tała przede mną tego, co nazywała nierozsądkiem Taniégo. Przesadziła przede mną szczupłość jego mienia; rozwinęła całą sztukę, w jaką inteligencja ludzka umie stroić sofizmaty⁷ ambicji.

— O cóż chodzi? O rozłąkę najwyżej dwu- lub trzyletnią.

— To bardzo długo dla człowieka, którego pani kocha i który panią kocha jak samego siebie.

— On mnie? Gdyby mnie kochał, czyżby się zawahał?

— Ależ czemu pani nie chce mu towarzyszyć?

— Ja? Ani mi w głowie; mimo całego szaleństwa nie przyszło mu na myśl proponować mi tego. Czy wątpi we mnie?

— Nie sądzę.

— Skoro czekałam nań dwanaście lat, może przecież zaufać mi na dwa lub trzy lata. To wyjątkowa sposobność, z tych, które zdarzają się w życiu tylko raz; nie chcę, aby miał kiedyś żałować i wyrzucać mi może, iż przeze mnie ją chybił.

— Tanié nie będzie żałował niczego, póki będzie miał szczęście posiadać pani wzajemność.

— To bardzo pięknie; ale może pan być pewny, iż będzie mu nader miło być bogatym wówczas, gdy ja się zestarzeję. Wadą kobiet jest, że nigdy nie myślą o przyszłości; co do mnie, nie mam tej wady...

Minister był w Paryżu. Z domu do jego pałacu było tylko parę kroków. Tanié poszedł i przyjął zobowiązanie. Wrócił z suchym okiem, ale z ciężkim sercem.

— Pani — rzekł — byłem u pana de Maurepas; zgodziłem się. Pojadę; pojadę, stanie ci się zadość.

— Ach, mój jedyny!...

Pani Reymer odsuwa krosienka, biegnie, zaplata mu ramiona wokół szyi, obsypuje go pieszczotami i czułościami.

— Och, teraz wreszcie widzę, kochasz mnie.

Tanié odparł chłodno:

— Chcesz być bogata...

(— Była bogata, hultajka, dziesięć razy więcej niż zasługiwała!...)

— ...i będziesz. Skoro kochasz złoto, trzeba ci zdobyć złoto!

Było to we wtorek; minister nazaczył wyjazd Taniégo nieodwołalnie na piątek. Zaszedłem go pożegnać w chwili, gdy walczył sam z sobą, gdy silił się wydrzeć z ramion pięknej, niegodnej i okrutnej kochanki. Trudno opisać tę rozpacz, obłąd, agonię; nie widziałem czegoś podobnego... To nie były skargi, to był jeden długi krzyk. Pani Reymer leżała jeszcze w łóżku; Tanié trzymał ją za rękę, powtarzając bez przerwy:

— Okrutna kobieto! Okrutna! Czegóż ci trzeba więcej w dostatku, którego zażywasz obok przyjaciela, kochanka takiego jak ja! Biegłem zdobywać dla niej fortunę w palących krainach Ameryki; żąda, bym znów szukał dla niej skarbów wśród lodów Północy. Mój przyjacielu, czuję, że ta kobieta jest szalona, czuję, że sam jestem bezrozumny, ale mniej mi jest straszne umrzeć niż ją zasmucić. Chcesz, abym cię opuścił, opuszczę cię.

Kłęczał przy łóżku, z ustami przyklejonymi do jej ręki, z twarzą ukrytą w kołdrze; zdławiony jego lament tym bardziej był żaloszny i przejmujący.

Ktoś uchylił drzwi; Tanié podniósł głowę; ujrzał pocztyliona, który przyszedł oznajmić, że pojazd gotowy. Wydał krzyk i znowu utopił twarz w kołdrze. Po chwili milczenia, wstał i rzekł:

— Uściskaj mnie; uściskaj jeszcze raz... nie ujrzysz mnie już.

Przecucie jego było aż nazbyt prawdziwe. Pojechał. Przybył do Petersburga; w trzy dni później zapadł na febrę⁸, z której czwartego dnia umarł.

— Wiedziałem to wszystko.

— Byłeś może jednym z następców Taniégo?

— Zgadłeś, i ta piękna zbrodniarka przywiodła mnie na krawędź ruiny.

⁷*sofizmat* — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

⁸*febra* (daw.) — gorączka połączona z dreszczami. [przypis edytorski]

— Biedny Tanié!
 — Znajdą się ludzie, którzy go nazwą głupcem.
 — Nie będę go bronił, ale życzę im w głębi serca, aby zły los oddał ich w ręce kobiety równie pięknej i równie przewrotnej, jak pani Reymer.
 — Mściwy jesteś.
 — Ostatecznie, jeżeli zdarzają się bardzo niegodziwe kobiety, a bardzo dobrzy mężczyźni, bywają również kobiety bardzo dobre, a mężczyźni niegodziwi, i to, co opowiem, równie nie jest bajką, jak to, com przytoczył poprzednio⁹.
 — Jestem o tym przekonany.
 — Pan d'Hérouville¹⁰...
 — Ten, który żyje jeszcze? Generał-porucznik armii królewskiej? Ów, który zaślubił przemiłe stworzenie, zwane Lolotą?
 — On sam.
 — To człowiek pełen uroku, szczerzy przyjaciel nauk.
 — I uczonych. Otóż pan d'Hérouville zajmował się długo historią wojen we wszystkich wiekach u wszystkich narodów.
 — Projekt bardzo szeroki.
 — Aby go spełnić, skupił koło siebie kilku utalentowanych młodych ludzi, jak na przykład pana de Montucla¹¹, autora *Historii nauk matematycznych*.
 — Bagatela! Czy dużo miał pracowników tej miary?
 — Ten, który zwał się Gardeil, bohater przygody, jaką mam zamiar opowiedzieć, zgoła nie gorszy był w swoim zakresie. Wspólny zapał do greczyzny zbliżył mnie z Gardeilem; czas, wzajemne usługi, skłonność do ustronnego życia, a zwłaszcza sposobność częstego widywania się sprawiły między nami dość bliską zażyłość.
 — Mieszkałeś wówczas w Estrapade¹².
 — On przy ulicy św. Hiacynta, przyjaciółka zaś jego, panna de La Chaux, na placu św. Michała. Wymieniam ją po nazwisku, ponieważ biedna istota już nie żyje i ponieważ historia ta może jej przynieść tylko zaszczyt w oczach ludzi myślących szlachetnie oraz zjednać podziw, żale i łzy tych, których natura wyróżniła lub pokarała częstą tkliwością, jaka wypełniała jej duszę.
 — Co to?... Głos ci się łamie... płaczesz?
 — Zdaje mi się, że widzę jeszcze jej wielkie, czarne oczy, lśniące i słodkie, i że dźwięk jej przejmującego głosu rozlega się w mych uszach i porusza serce... Uroczą, jedyną istotą, nie ma cię już, blisko dwadzieścia lat jak cię nie ma, a serce moje jeszcze się ściska na twe wspomnienie.
 — Kochałeś ją?
 — Nie. O La Chaux! O Gardeil! Byliście oboje istnym cudem; ty — kobiecej tkliwości; ty — niewdzięczności męskiej.
 Panna de La Chaux pochodziła z zacnej rodziny. Opuściła dom, aby się rzucić w ramiona Gardeila. Gardeil nie miał nic, panna de La Chaux miała jakiś mająteczek; pochłonięły go w całości potrzeby i zachcenia Gardeila. Nie żałowała ani strwonionej fortuny, ani splamionego honoru: kochanek zastępował jej wszystko.
 — Ten Gardeil był tedy¹³ bardzo miły, bardzo powabny?

⁹to, co opowiem, równie nie jest bajką, jak to, com przytoczył poprzednio — opowiadanie, które następuje, jest ściśle przedstawieniem rzeczywistych faktów. Gardeil, tłumacz dzieł lekarskich Hipokrata, umarł w 1808, licząc 82 lat; doktor Camus urodził się w Paryżu w 1722, umarł w 1772. Sam Diderot był owym świadkiem i powiernikiem miłości i poświęcenia panny de Le Chaux oraz niewdzięczności Gardeila. Zachowanie prawdziwych nazwisk tłumaczy się tym, iż opowiadania Diderota, nie wyłączając większych utworów jak *Kubus Fatalista*, *Bratanek mistrza Rameau*, krążyły tylko w odpisach. [przypis tłumacza]

¹⁰d'Hérouville, Antoine Ricouart (1713–1782) — francuski generał-porucznik armii królewskiej, uczonego, współpracownika Encyklopedystów; jego pierwszą żoną była Louise Gaucher (zm. 1765). [przypis edytorski]

¹¹Montucla, Jean-Étienne (1725–1799) — francuski matematyk; w 1758 opublikował pierwszą część swojej *Historie des mathématiques*, pierwszej wiarygodnej pracy traktującej o historii matematyki, doprowadzonej aż do XVII w.; po jego śmierci *Historię*... dokończył i wydał w 4 tomach Jérôme Lalande. [przypis edytorski]

¹²Estrapade — ob. rue de l'Estrapade, ulica w Paryżu, zaczynająca się od placu o tej samej nazwie; przy rue de l'Estrapade nr 3 mieszkał Diderot od 1747 do 1754, kiedy pisał *Encyklopedię*. [przypis edytorski]

¹³tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Bynajmniej. Mały, opryskliwy, milczący i kostyczny¹⁴ człowieczek; twarz sucha, cera smągła; cała postać wątła i drobna; brzydki, o ile może być brzydka fizjonomia try-skająca inteligencją.

— I oto, co zawróciło głowę czarującej dziewczynie?

— To cię dziwi?

— Zawsze.

— Ciebie?

— Mnie.

— Nie przypominasz już sobie zatem panny Deschamps i rozpaczy, w jaką popadłeś, skoro to ladaco zamknęło ci drzwi?

— Dajmy temu pokój; opowiadaj dalej.

— Mówiłem ci: „Taka jest piękna?”. Odpowiadałeś smutno: „Nie”. — „Więc taka rozumna, dowcipna?” — „Zupełnie głupia”. — „Zatem urzekły cię jej talenty?...” — „Ma tylko jeden”. — „A ów rzadki, wzniosły, cudowny talent?...” — „Ten, iż daje mi w swoich ramionach więcej szczęścia, niż go kiedykolwiek zaznałem w objęciach innej”. — Otóż panna de La Chaux, szlachetna, tkliwa panna de La Chaux, wróżyła sobie potajemnie, instynktownie, bezwiednie owo szczęście, które znasz i które kazało ci mówić o tej Deschamps: „Jeżeli ta niegodziwa, bezecna będzie uparcie mnie pędzić precz od siebie, biorę pistolet i palnę sobie w łeb pod jej drzwiami”. Mówiłeś tak, czy nie?

— Mówiłem; i nawet dzisiaj nie wiem, czemu tego nie uczynił.

— Przyznaj zatem...

— Wszystko, co zechcesz.

— Mój przyjacielu, najrozsądniejszy z nas może mówić o szczęściu, iż nie spotkał kobiety pięknej lub szpetnej, sprytnej lub głupiej, która by go doprowadziła do domu obłąkanych. Litujmy się nad ludźmi, bądźmy oszczędni w potępianiu; spoglądajmy na ubiegłe lata jako na czas wydarty niebezpieczeństwu, które na nas czyha, i nie ważmy się myśleć bez drżenia o potędze pewnych powabów natury, zwłaszcza dla gorących dusz i płomiennych wyobraźni. To iskra, która padnie przypadkiem na baryłkę z prochem; a palec, gotowy strząsnąć na ciebie lub na mnie tę nieszczęsną iskrę, podnosi się może...

Pan d'Hérouville, pragnąc rychło ukończyć swe dzieło, przywalał robotą współpracowników. Zdrowie Gardeila zaczęło podupadać. Aby ulżyć jego zadaniu, panna de La Chaux nauczyła się po hebrajsku; gdy on spał, trawiła nocę na przekładaniu i przepisywaniu hebrajskich pisarzy. Przyszedł czas autorów greckich; panna de La Chaux wydoskonalila się skwapliwie w tym języku, o którym już miała niejakię pojęcie, i znów w czasie spoczynku Gardeila mozołila się nad tłumaczeniem i kopiowaniem ustępów z Ksenofonta¹⁵ i Tukidydesa¹⁶. Do greki i hebrajszczyzny przybył niebawem język włoski i angielski. Posiadła angielski tak, iż mogła przełożyć na francuski pierwsze prace Hume'a¹⁷ o metafizyce, dzieło, w którym zawilość przedmiotu pomnaża jeszcze trudności języka. Kiedy zmęczyla się pracą naukową, bawiła się sztychowaniem¹⁸ nut. Kiedy lękała się, że kochanek się nudzi, śpiewała. Nie przesadzam nic, świadczę się panem de Camus, doktorem medycyny, który pocieszał ją w strapieniach i wspomagał w niedostatku. Otaczał ją nieprzerwanymi staraniami, odwiedzał na poddaszu, gdzie zapędziła ją nędza, i zamknął jej powieki, skoro zgasła. Ale zapominam jedno z głównych jej utrapień: prześladowanie rodziny, oburzonej publicznym i gorszącym stosunkiem. Posłużono się i prawdą, i kłamstwem, aby gnębić jej cześć i swobodę. Rodzina i księża ścigali ją z dzielnicy w dzielnicę, od domu do domu, i zmusili na kilka lat do samotnego życia w ukryciu. Spędzała dnie na tym, iż pracowała za Gardeila. Odwiedzaliśmy ją w nocy; na widok kochanka jej zgryzoty, niepokój pierzchały.

— Jak to, młoda, nieśmiała, tkliwa wśród tylu przeciwności!

¹⁴kostyczny — uszczypliwy, złośliwy. [przypis edytorski]

¹⁵Ksenofont z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa; znany m.in. z pamiętnika wojkowego pt. *Wyprawa Cyrusa (Anabaza)*, opisującego drogę powrotną armii 10 tysięcy najemników greckich do ojczyzny przez 1000 mil wrogich krajin. [przypis edytorski]

¹⁶Tukidydes (ok. 460–ok. 400 p.n.e.) — grecki historyk i dowódca wojskowy, autor monografii *Wojna peloponeska*; jako pierwszy postulował zasady obiektywizmu i krytycznego podejścia do źródeł w dziejopisarstwie. [przypis edytorski]

¹⁷Hume, Dawid (1711–1776) — szkocki filozof, historyk i pisarz. [przypis edytorski]

¹⁸sztychować (daw.) — starannie pisać, kaligrafować. [przypis edytorski]

— Czują się szczęśliwa.
 — Szczęśliwa!
 — Tak; przestała taka być dopiero z chwilą, gdy Gardeil okazał się niewdzięczny.
 — Ależ to niepodobna¹⁹: niewdzięczność miałaby być nagrodą tylu rzadkich przymiotów, tylu dowodów czułości, tylu poświęceń?...

— Tak jest: Gardeil okazał się niewdzięczny. Jednego dnia panna de La Chaux znalazła się sama na świecie, bez czci, bez majątku, bez oparcia. Nie, myślę się: ja zostałem jej jakiś czas. Doktor Le Camus został do końca.

— O mężczyźni, mężczyźni!
 — O kim mówisz?
 — O Gardeilu.
 — Widzisz niegodziwca, a nie widzisz tuż obok zanego człowieka. W ów straszny, bolesny dzień przybiegła do mnie. Było to rano. Błada była jak śmierć. Dowiedziała się o swym losie dopiero w wilię²⁰, a już wyglądała jak obraz cierpienia. Nie płakała, ale widać było, że wylała wiele łez. Rzuciła się na fotel; nie mówiła nic, nie mogła mówić; wyprężyła ramiona, krzyczała.

— Co się stało? — rzekłem. — Umarł?...
 — Gorzej: nie kocha mnie, rzuca mnie...
 (— Dajże pokój).
 (— Nie mogę; widzę ją, słyszę, oczy moje napętniają się łzami).
 — Nie kocha już pani?...
 — Nie.
 — Rzuca panią?
 — Tak. Po wszystkim, co uczyniłam!... Panie, w głowie mi się miesza; miej litość nadę mną, nie opuszczaj... na Boga, nie opuszczaj mnie!...

Mówiąc to, chwyciła mnie za ramię i ścisnęła je silnie, jak gdyby ktoś groził, że ją wyrwie i uprowadzi.

— Niech się pan niczego nie lęka.
 — Lękam się tylko siebie.
 — Co mogę uczynić?...

— Przede wszystkim ratować mnie przede mną samą... Nie kocha mnie już! Męczę go! Nużę! Nudzę! Nienawidzi mnie! Opuszcza mnie! Rzuca! Rzuca!

Tu głębokie milczenie, potem konwulsyjny śmiech, tysiąc razy straszliwszy niż akcenty rozpacz i rżenie agonii. Potem nastąpiły płacze, krzyki, niezrozumiałe bełkot, spojżenia obrócone ku niebu, drżenie warg. Trzeba było ten potok bóleści zostawić jego biegowi. Tak też uczyniłem. Zaczęłem przemawiać do rozsądku dopiero wówczas, kiedy wydała mi się złamana, otepiła.

— Nienawidzi pani, opuszcza panią! — rzekłem. — I któż to pani powiedział?
 — On.
 — Pani droga, trochę nadziei, odwagi. Toż nie jest potworem...
 — Nie zna go pan; poznasz go. To potwór, jakiego nie ma, nie było na świecie.
 — Niepodobna mi wierzyć.
 — Zobacz pan.
 — Kocha kogo innego?
 — Nie.
 — Nie dała mu pani powodu do podejrzeń, do niezadowolenia?
 — Nic, nic.
 — Cóż zatem jest przyczyną?...

— Moja bezużyteczność. Nie mam już nic, nie zdam mu się na nic. Jego ambicja; zawsze był ambitny. Upadek mego zdrowia, wdzięków: tyle się wycierpiałam, tyle narodziłam! Nuda, przesyty...

— Ludzie przestają się kochać, ale zostają przyjaciółmi.

¹⁹*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

²⁰*wilia* (daw.) albo *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; *w wilię*: w przeddzień. [przypis edytorski]

— Stałam się dlań czymś nie do zniesienia; obecność moja ciąży mu; widok mój drażni go i rani. Gdyby pan wiedział, com usłyszała! Tak, powiedział mi, że gdyby był skazany na to, aby spędzić ze mną jeszcze dobę, wyskoczyłby oknem.

— Ale ten wstręt nie może być dziełem chwili!

— Cóż ja wiem? On jest z natury tak wzdurliw, obojętny, tak zimny! Tak trudno wyczytać coś w duszy tego pokroju! Tak straszne jest wyczytać wyrok śmierci! Oznajmił mi go, i z jakim okrucieństwem!...

— Nic nie pojmuję, doprawdy.

— Mam pana prosić o jedną łaskę, po to tu przybyłam: czy mi pan jej użyczy?

— Bezwarunkowo.

— Słuchaj więc. On pana szanuje; pan wiesz wszystko, co mi jest winien. Może wstyd mu będzie pokazać się wobec pana takim, jakim jest. Nie, nie sądzę, aby miał się ni czoło²¹ po temu. Jam tylko kobieta, pan jest mężczyzną. Mężczyzna z sercem, zacny i sprawiedliwy, nakazuje szacunek; będzie się z panem liczył. Niech mi pan poda ramię: chcę pomówić z nim przy panu. Kto wie, jaki wpływ może nań wyrzucić moja boleść i pańska obecność. Pójdzie pan?

— Bardzo chętnie.

— Chodźmy...

— Lękam się mocno, iż pani boleść i moja obecność niewiele wskórają. Przesyt! To straszna rzecz w miłości przesyt, i to kobietą!

Posłałem po lektykę, nie była bowiem zdolna iść. Przybywamy do Gardeila, do tego wielkiego nowego domu, jedyne, jaki się znajduje po prawej ręce przy ulicy św. Hiacynta, wchodząc od placu św. Michała. Lektyka zatrzymuje się, otwierają. Czekam. Panna de La Chaux nie wysiada. Zbliżam się i widzę ją drżącą na całym ciele. Zęby dzwonią jak w febrze, kolana biją o siebie.

— Chwilkę, panie, przepraszam, nie mogę... Po co ja tam pójde? Niepotrzebnie ode-
rwałam pana od zajęć; przykro mi bardzo, przepraszam...

Podał mi jej ramię; spróbowała się podnieść, nie mogła.

— Jeszcze chwilę — rzekła — przykrość panu robię, litujesz się nad moim stanem...

Wreszcie opanowała się nieco i wysiadając, dodała cicho:

— Trzeba wejść, trzeba go zobaczyć. Cóż można wiedzieć? Umrę tam może...

Przebyliśmy dziedziniec; jesteśmy u progu; jesteśmy w gabinecie Gardeila. Siedział przy biurku, w robdeszanie²², w krymce²³. Pozdrowił mnie ręką, nie przerywając pracy. Podszedł wreszcie i rzekł:

— Przyznaj pan, że kobiety są bardzo uciążliwe. Tysiącrotnie przepraszam za szaleństwa tej damy.

Następnie, zwracając się do biednej, w pół żywej istoty:

— Czego sobie pani jeszcze życzy? Zdaje mi się, że po jasnym i stanowczym sposobie, w jaki rzecz postawiłem, wszystko powinno być skończone. Powiedziałem, że pani już nie kocham; powiedziałem w cztery oczy; chce pani widocznie, abym powtórzył przy świadku. Dobrze zatem, nie kocham już pani. Wygasła w moim sercu miłość dla pani i, dodam, jeżeli to może panią pocieszyć, dla wszelkiej kobiety.

— Ale powiedz, czemu mnie już nie kochasz?

— Nie wiem; wiem tyle, iż zacząłem kochać, nie wiedząc czemu, przestałem, nie wiedząc czemu, i że niepodobieństwem jest, aby to uczucie wróciło. Było to niby urzeczzenie, które zrzuciłem z siebie i z którego — winszuję sobie tego — doskonale jestem wyleczony.

— Jakie są moje winy?

— Żadne.

— Ma pan w duszy coś do zarzucenia memu postępowaniu?

— Nic a nic; była pani kobietą najbardziej wierną, uczciwą, czułą, jakiej tylko mężczyzna może pragnąć.

²¹*mieć czoło* (daw.) — mieć czelność. [przypis edytorski]

²²*robdeszan* (z fr.) — rodzaj szlafroka: luźny, długi ubiór domowy z wełny; popularny w XVIII w. [przypis edytorski]

²³*krymka* — przylegająca do głowy czapeczka bez daszka, często ozdobiona haftem; typowa część stroju Tatarów krymskich, stąd nazwa. [przypis edytorski]

- Czy zaniechałam czegoś, co było w mej mocy uczynić?
- Nie.
- Czy nie poświęciłam dla pana rodziny?
- W istocie.
- Majątku?
- Niezmiernie mi przykro.
- Zdrowia?
- Możebne.
- Honoru, reputacji, spokoju?
- Co tylko pani każe.
- I jestem ci wstrętna?
- Przykro to mówić, przykro usłyszeć, ale skoro tak jest, trzeba to powiedzieć.
- Jestem mu wstrętna!... Czuję to i jedynie gardzę sama sobą... Wstrętna!... Ach!

Wina, Pogarda

Boże!...

Śmiertelna bladeść rozlała się po jej twarzy, wargi zbieleły, krople zimnego potu zmieszaly się ze łzami ciekącymi spod powiek; oczy miała zamknięte, głowa opadła na fotel, zęby się zacięły, członki wyprężyły się w kurczowym drganiu. Po tym dreszczu nastąpiło omdlenie; zdało mi się, że spełnia się nadzieja, którą wyraziła pod bramą. Trwało to tak długo, iż zląkłem się o nią. Zdjąłem jej płaszczyk, rozluźniłem suknie, bryzgnąłem wodą na twarz. Otworzyła nieco oczy; z gardła wydarł się głuchy jęk; chciała wyrzec: „Jestem mu wstrętna”, ale zdołała wyjąknąć tylko ostatnie zgłoski, po czym wydała przesywający krzyk. Powieki opadły, znowu zemdlała. Gardeil, siedząc chłodno w fotelu, wsparty na łokciu, patrzył obojętnie i pozwalał mi się krzątać koło niej. Rzekłem kilkakrotnie:

— Panie, ona umiera... trzeba by kogoś wezwać.

Uśmiechnął się i wzruszając ramionami, odparł:

— Kobiety mają twarde życie; nie umierają dla takiej drobnostki, to nic, to przejdzie.

Nie znasz tych istot: wyprawiają z sobą, co same zechcą...

— Ona umiera, powiadam panu.

W istocie, ciało jej było jak gdyby bez siły i bez życia; osuwała się z fotelu, byłaby runęła na ziemię, gdybym jej nie podtrzymał. Tymczasem Gardeil wstał gwałtownie; przechadzając się po pokoju, mówił niecierpliwie i szorstko:

— Obszedłbym się chętnie bez tej przykrej sceny, ale mam nadzieję, że to ostatnia. Czego, u diabła, chce ta kobieta? Kochałem ją; mógłbym tłuc głową o mur, nic by to nie zmieniło. Nie kocham jej już; wie o tym nareszcie, albo też nie dowie się nigdy. Wszystko skończone...

— Nie, panie, nie wszystko. Jak to, sądzisz, że uczciwy człowiek ma prawo obedrzeć kobietę ze wszystkiego, co miała, i rzucić ją?

— A cóż mam robić? Jestem taki sam nędzarz jak ona.

— Co masz robić? Skojarzyć swoją nędzę z tą, do której ją doprowadziłeś.

— Łatwo to mówić. Jej nie byłoby lepiej, a mnie o wiele gorzej.

— Czy postąpiłbyś tak z przyjacielem, który by ci wszystko poświęcił?

— Przyjacielem? Przyjacielem? Nie wierzę zbyt w przyjaciół, a to doświadczenie nauczyło mnie nie wierzyć w miłość. Żałuję, że nie wiedziałem tego wcześniej.

— I czy słuszne jest, aby ta nieszczęsna była ofiarą pańskiej omyłki?

— A kto panu ręczy, że miesiąc, dzień później ja nie stałbym się w równie okrutny sposób ofiarą jej omyłki?

— Co ręczy? Wszystko, co dla pana uczyniła, i stan, w jakim ją widzisz.

— Wszystko co dla mnie uczyniła!... Och, dalibóg, skwitowałem²⁴ się z nią stratą mego czasu.

— Och, panie Gardeil, cóż za porównanie pańskiego czasu i nieopłaconych rzeczy, które ty jej wydarłeś!

— Nie zrobiłem nic, nie jestem niczym, mam trzydzieści lat; teraz albo nigdy pora myśleć o sobie i brać te głupstwa tak, jak są tego warte...

Tymczasem biedna kobieta przyszła po trochu do siebie. Dosłyszawszy ostatnie słowa, odparła dość żywo:

²⁴skwitować się (daw.) — wyrównać rachunki. [przypis edytorski]

— On mówi o stracie swego czasu? Nauczyłam się czterech języków, aby mu ulżyć w pracy; przeczytałam tysiąc tomów; pisałam, tłumaczyłam, kopiowałam dniami i nocami; wyczerpałam siły, zjadłam oczy, spaliłam krew; nabawiłam się dotkliwej choroby, z której nie wyleczę się może nigdy. On nie śmie wyznać przyczyny swego wstrętu: zaraz ją pan pozna.

To mówiąc, zdiera szal, odsłania ramię i pokazując plamę podobną do róży, powiada:

— Oto przyczyna jego odmiany; oto następstwo nocy, które strawiłam na czuwaniu. Przychodził rano, przynosząc zwoje pergaminów. „Panu d’Hérouville — powiadał — bardzo pilno dowiedzieć się, co się tam mieści; trzeba, by ta robota była gotowa na jutro”. I była gotowa...

W tej chwili uszyszeliśmy kroki zbliżające się do drzwi; był to służący, oznajmił przybycie pana d’Hérouville. Gardeil pobladł. Staralem się skłonić pannę de La Chaux, aby poprawiła strój i wyszła.

— Nie — rzekła — nie; zostaję. Chcę zedrzeć maskę z łotra. Poczekam na pana d’Hérouville, pomówię z nim.

— I na co?

— Na nic — odparła. — Ma pan słuszność.

— Jutro żałowałyby pani tego. Niech wszystkie winy zostaną po jego stronie; to zemsta godna pani.

— Ale czy godna jego? Nie widzi pan, że ten człowiek... Chodźmy, panie, chodźmy szybko; nie odpowiadam za to, co bym zrobiła, co bym powiedziała...

W mgnieniu oka panna de La Chaux poprawiła strój i wypadła jak strzała z gabinetu. Pospieszyłem za nią, brama zamknęła się gwałtownie za nami. Później dowiedziałem się, iż Gardeil zabronił odźwiernemu wpuszczać dawnej kochanki.

Odprowadziłem ją do domu; zastałem doktora Le Camus, czekał na nas. Uczucie jego dla tej młodej dziewczyny mało się różniło od jej uczuć dla Gardeila. Opowiedziałem mu nasze odwiedziny; poprzez oznaki gniewu, bóleści, oburzenia...

— Nietrudno było wyczytać, iż ten ujemny rezultat nie był mu zbyt przykry.

— To prawda.

— Oto człowiek. Nie umie zdobyć się na więcej.

— Następstwem zerwania była gwałtowna choroba, podczas której dobry, zacny, tkliwy i delikatny doktor otoczył pannę de La Chaux staraniami, jakich by nie miał dla największej damy. Przychodził trzy, cztery razy dziennie. Póki stan był groźny, sypiał w pokoju na składanym łóżku. To prawdziwe szczęście, choroba, gdy przyjdzie w chwili wielkiej zgrzyzoty...

— Zbliżając nas do nas samych, oddala wspomnienie innych. A przy tym pozór, który pozwala oddać się zmartwieniu bez przymusu i zawstydenia.

— Uwagi tej, trafnej zresztą, nie dałoby się zastosować do panny de La Chaux. Gdy przychodziła do zdrowia, obmyślaliśmy jej zajęcia. Osoba ta posiadała tyle dowcipu, wyobraźni, smaku, wiadomości, iż byłaby godna, doprawdy, zasiadać w Akademii²⁵. Tyle się nasłuchiwała naszych metafizycznych dysput, iż najbardziej oderwane przedmioty stały się jej poufałe; jakoż pierwszą jej prośbą był przekład *Badani dotyczących rozumu ludzkiego* Hume’a. Przejrzałem tę pracę i w istocie niewiele mi zostało sposobności do poprawek. Przekład ten, wydrukowany w Holandii, spotkał się u publiczności z dobrym przyjęciem.

Mój *List o głuchoniemych* ukazał się niemal w tym samym czasie. Kilka subtelnych uwag panny de La Chaux w tej materii pobudziło mnie do skreślenia *Przyczynku*²⁶, który jej poświęciłem. Ten *Przyczynek* nie należy do moich najgorszych utworów.

Wesołość panny de La Chaux wróciła nieco. Doktor wydawał dla nas niekiedy mały bankietek i obiady te nie były zbyt smutne. Od czasu rozstania jej z Gardeilem miłość

²⁵*Akademia* — tu: Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej, francuskie towarzystwo naukowe zajmujące się naukami humanistycznymi, założone w 1663; jego pierwotnym zadaniem było układanie łacińskich napisów, które miały być umieszczane na budowach, pomnikach i medalach upamiętniających ważne wydarzenia za panowania Ludwika XIV; później zakres działalności poszerzono o badania historyczne, archeologiczne i lingwistyczne; od 1795 Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej stanowi jedną z pięciu placówek Instytutu Francji. [przypis edytorski]

²⁶Mój „List o głuchoniemych” ukazał się niemal w tym samym czasie. Kilka subtelnych uwag panny de la Chaux w tej materii pobudziło mnie do skreślenia „Przyczynku” — *List o głuchoniemych* Diderota ukazał się z początkiem 1751; w kilka zaś miesięcy później ów *Przyczynek*, poświęcony pannie de la Chaux. [przypis tłumacza]

Le Camusa uczyniła nadzwyczajne postępy. Jednego dnia, przy stole, pod koniec obiadu, kiedy wyznawał swe uczucia z całą poczciwością, tkliwością, naiwnością dziecka, a z całą subtelnością wyższego umysłu, panna de La Chaux odparła mu ze szczerością, która niezmiernie mi się spodobała, ale która może nie spodoba się innym:

— Doktorze, niepodobna mieć więcej szacunku niż ja dla pana. Otaczasz mnie dobrocią; byłabym równie czarna jak ów potwór Gardeil, gdybym nie czuła dla ciebie najwyższej wdzięczności. Umysł pański jest mi w najwyższym stopniu sympatyczny. Mówisz mi o swym uczuciu z taką delikatnością i wdziękiem, iż byłoby mi może i przykro, gdybyś przestał o nim mówić. Sama myśl o tym, iż mogłabym postradać pańskie towarzystwo lub być pozbawiona twej przyjaźni, wystarczyłaby, aby mnie unieszczęśliwić. Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam; człowiekiem niezrównanej dobroci i słodczy. Nie sądzę, aby serce mogło się dostać w lepsze ręce. Od rana do wieczora przemawiam do mego serca za tobą; ale darmo prawić kazania komuś, kto nie ma ochoty się poprawić. Nie pomaga! Tymczasem pan cierpi, mnie zaś sprawia to okrutną przykrość. Nie znam nikogo, kto by był godniejszy szczęścia, którego pragniesz. Nie wiem, czego bym nie uczyniła, aby cię uczynić szczęśliwym. Wszystko, co mogę, bez wyjątku. Wiesz, doktorze, posunęłabym się... tak, posunęłabym się aż do oddania... aż do tego, włącznie. Chcesz pan, bym ci się oddała? Wystarczy ci powiedzieć słowo. Oto wszystko, co mogę zrobić dla ciebie; ale ty chcesz, abym cię kochała, a tego nie potrafię.

Doktor słuchał, ujmował ją za rękę, całował jej dłoń, zraszał ją łzami; ja zaś nie wiedziałem, czy mam się śmiać czy płakać. Panna de La Chaux знаła dobrze doktora i na zajutrz, kiedy spytałem:

— Ależ, pani, a gdyby doktor wziął panią za słowo?

odparła:

— Dotrzymałabym; ale to było niemożliwe; ofiara moja nie była tej natury, aby ją mógł przyjąć człowiek taki jak on...

— Czemu nie? Na miejscu doktora miałbym może nadzieję, że reszta przyjdzie później.

— Tak; ale gdybyś pan był na miejscu doktora, panna de La Chaux nie byłaby uczyniła tej propozycji.

Przekład Hume'a nie przyniósł jej zbyt wielkich korzyści. Holendrzy drukują, ile kto zapragnie, byleby nic nie płacili.

— Na szczęście dla nas, wobec tych zapór bowiem, jakie u nas stawia się myśli, gdyby chcieli jeszcze płacić autorom, ściągęliby do siebie cały ruch księgarski.

Poradziliśmy jej, aby napisała utwór lżejszej treści, który by przyniósł mniej zaszczytu, a więcej zysku. Pracowała nad tym kilka miesięcy, po czym przyniosła mi powiastkę historyczną pod tytułem *Trzy faworyty*. Utwór zalecał się lekkością stylu, trafną obserwacją i zajmującą fabułą, ale zupełnie bezwiednie (panna de La Chaux niezdołna była do złośliwości) zawierał pewne rysy mogące się odnosić do kochanki króla, margrabiny de Pompadour²⁷. Nie tailem autorce, iż mimo poświęceń, jakie by uczyniła, bądź łagodząc, bądź skreślając całe ustępy, prawie niemożliwe było puścić tego w świat bez niebezpieczeństwa: przykrość zniweczenia zalet dzieła nie zabezpieczyłaby jej od ujemnych następstw. Uczuła trafność mej uwagi i tym bardziej się zmartwiła. Zacny doktor uprzędał wszystkie jej potrzeby, ale korzystała z jego dobroczynności tym oględniej, im mniej czuła się skłonna do czynnych objawów wdzięczności. Zresztą doktor nie był wówczas bogaty, a jego charakter nie wróżył, aby miał kiedyś zostać. Od czasu do czasu wyjmowała rękopis i mówiła smutno: „I cóż, nie ma zatem sposobu, trzeba, aby pleśniał?”. Dałem jej osobliwą radę: mianowicie, aby posłać utwór jak jest, nic nie łagodząc, bez zmiany, samej pani de Pompadour, z liścikiem, który by wyłożył pobudki tego kroku. Myśl spodobała się pannie de La Chaux. Napisała list uroczy pod każdym względem, zwłaszcza szczerością, której niepodobna było się oprzeć. Parę miesięcy upłynęło bez wieści; już panna de La Chaux uważała krok swój za daremny, kiedy zjawił się u niej kawaler św. Ludwika²⁸ z odpowiedzią margrabiny. Faworyta chwaliła dzieło, jak było tego warte, dziękowała za

²⁷pani de Pompadour, właśc. *Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour* (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

²⁸kawaler św. Ludwika — mężczyzna odznaczony dawnym francuskim Orderem Świętego Ludwika, przyznawanym za zasługi wojenne, nazwanym na cześć króla Ludwika IX Świętego. [przypis edytorski]

poświęcenie, przyznawała możliwość aluzji, nie czuła się obrażona i zapraszała autorkę, aby ją odwiedziła w Wersalu, gdzie (pisała) zastanie kobietę pełną wdzięczności i gotową do wszelkich usług. Wychodząc, poseł zostawił zręcznie na kominku rulon pięćdziesięciu ludwików²⁹.

Nagliśmy ją wraz z doktorem, aby skorzystała z życzliwości pani de Pompadour, ale mieliśmy do czynienia z osobą, której skromność i nieśmiałość równe były talentom. Jak się pokazać w tych łachmanach? Doktor uchylił natychmiast trudność. Po ubraniu przyszły inne pozory, po nich jeszcze nowe. Podróż do Wersalu odwlekała się z dnia na dzień, aż do pory, w której prawie niewłaściwym byłoby ją podjąć. Od dawna już nie wspominaliśmy o tym, kiedy zjawił się ten sam wysłannik z drugim listem, wypełnionym najpochlebniejszymi wymówkami, i drugą gratyfikacją, równej wysokości i ofiarowaną z równą delikatnością. Ten szlachetny postępek pani de Pompadour nie był nawet nikomu wiadomy. Wspomniałem o tym Collinowi, zaufanemu słudze i rozdawcy jej tajemnych łask. Nie wiedział o tym uczynku; chcę wierzyć, że to był niejedyny, jaki kryje grób faworyty. W ten sposób panna de La Chaux ominęła dwa razy sposobność wydobywania się z nędzy. Później przeniosła się gdzieś za rogatki³⁰, straciłem ją zupełnie z oczu. Dowiedziałem się tylko, że reszta jej życia była pasmem samych zgryzot, chorób i nędzy. Rodzina zamykała uparcie przed nią drzwi. Daremnie prosiła o wstawiennictwo tych świętych osób, które ją prześladowały z taką gorliwością.

— To w porządku.

— Doktor nie opuścił jej. Umarła na słomie, na poddaszu, podczas gdy tygrys z ulicy św. Hiacynta, jedyny kochanek, jakiego miała, kurował ludzi w Montpellier czy w Tuluzie, ciesząc się dostatkiem, zasłużoną sławą talentów i przywłaszczoną sławą uczciwego człowieka.

— I to mniej więcej w porządku. Jeżeli zdarzy się dobry i zacny Tanié, Opatrzność zsyła go takiej Reymerce; jeżeli zdarzy się dobra i zacna de La Chaux, stanie się lupem takiego Gardeila, iżby wszystko było jak najlepiej.

Ale, powie ktoś, lekkomyślne jest wydawać stanowczy sąd o charakterze z jednego postępku. Tak surowe prawidło uszczupliłoby liczbę zacnych ludzi do tego stopnia, iż zostałyby ich na ziemi mniej, niż Ewangelia przypuszcza wybranych w niebie³¹. Można być niestałym w miłości, niezbyt nawet sumiennym z kobietami, nie będąc przez to samo wyzutym z honoru i uczciwości; nikt nie jest panem ani wstrzymania miłości, kiedy się rozpala, ani przedłużenia jej, gdy gaśnie; dosyć już widzimy na każdym kroku ludzi zasługujących na miano łajdaków, aby jeszcze wymyślać urojone zbrodnie, które mnożą ich liczbę w nieskończoność. Spyta mnie kto, czym nigdy nie zdradził, nie oszukał, nie rzucił bez powodu żadnej kobiety. Gdybym chciał odpowiedzieć na te pytania, odpowiedź moja nie zostałaby znowuż bez odpowiedzi; wszczęłaby się dysputa trwająca do sądnego dnia. Ale połóż rękę na sumieniu i powiedz mi, panie obrońco niewiernych i zwodzicieli, czy wziąłbyś pana Gardeil za przyjaciela?... Wahasz się. To mi wystarczy; proszę Boga, aby miał w świętej opiece kobietę, której zapragniesz przedłożyć swe hołdy.

²⁹ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

³⁰rogatka — dawny posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd; przen. granica miasta. [przypis edytorski]

³¹mniej, niż Ewangelia przypuszcza wybranych w niebie — wg *Apokalipsy św. Jana* ma ich być 144 tysiące (Ap 7,2–4). [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/diderot-to-nie-bajka>

Tekst opracowany na podstawie: Denis Diderot, *To nie bajka*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. M. Arct, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1931]

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.